

Zaczął biegać na przekór rodzinie, znajomym i lekarzom. Zanim trafił do wojska, pracował w kopalni. Biega od 35 lat, w tym czasie ukończył ponad 1000 biegów, z czego część w pełnym umundurowaniu. Stworzył Wojskowy Klub Biegacza Meta Lubliniec, za swoją działalność dostał wiele wyróżnień. Jest organizatorem kultowych imprez, takich jak Bieg Katorżnika czy Bieg o Nóż Komandosa. Zbigniew Rosiński – człowiek, który rozbiegał nie tylko armię.

Ze ZBIGNIEWEM ROSIŃSKIM rozmawia ELIZA CZYŻEWSKA.

CZŁOWIEK, KTÓRY (NIE TYLKO)

Od czego zaczęła się pana przygoda z bieganiem? Jak u wielu „starych biegaczy”, na początku był redaktor Tomasz Hopfer i jego niedzielne audycje „Bieg po zdrowie”, które nie tylko we mnie, ale w naszym narodzie rozdmuchały chęć biegania do takich rozmiarów, że jego rekordy frekwencji musiały czekać aż ćwierć wieku na pobicie. Fascynację bieganiem rozbudziła we mnie radość z ukończenia pierwszego Maratonu Pokoju w Warszawie w 1979 roku. Miałem 19 lat. A na świadectwie z III klasy nie mam oceny z WF-u. Okazało się, że mam wadę serca i... całoroczne zwolnienie. Teraz pewnie byłoby to niemożliwe, ale wtedy nauczyciel pozwalał mi ćwiczyć. Na przekór rodzinie, znajomym i lekarzom ukończyłem ten, niewyobrażalny wtedy, dystans. Od tego czasu pokochałem pot, ból i zmęczenie, które przełożyły się na wiarę i pewność siebie.

Jak wspomina pan ten pierwszy Maraton Pokoju?

Nikt nie wierzył, że przebiegnę 42 km. W tamtym okresie taka odległość to była wyprawa autobusem, najczęściej z przesiadką (mało kto miał samochód). Rzucony po trzech tygodniach biegania na głęboką wodę nie poszedłem na dno. Ukończyłem maraton w 3:36. Oczywiście, nowy strój spowodował obtarcia pod pachami i w pachwinach. Z butów po pękniętych pęcherzach wydobywał się odgłos, jakbym wcześniej wpadł w nich do kałuży, a po ich zdjęciu paznokcie były czarne. Gdy wysiadłem z pociągu, niespełna kilometr pokonywałem 30 minut. W domu przywitały mnie słowa: „Cholera, jednak przeleciałeś”. Okazało się, że widzieli mnie w telewizji wbiegającego na metę – co pół godziny były 5-minutowe wejścia. Ta sekunda czy dwie w telewizji zrobiły ze mnie bohatera w mojej wiosce.

Miał pan to niepowtarzalne szczęście uczestniczyć w trzech pierwszych edycjach Maratonu Pokoju...

Bardzo chciałem wystartować również w czwartej, ale kilka dni wcześniej trafiłem do 1. Batalionu Szturmowego w Dziwnowie, a w dniu maratonu już wylądowałem na poligonie w Drawsku Pomorskim. We wrześniu 1982 roku był jeszcze stan wojenny, a ja, młody żołnierz i amator biegania, wówczas nawet nie śmiałem pytać o pozwolenie na wyjazd do Warszawy. Dzisiaj tego żałuję, bo mógłbym być jednym z nielicznych biegaczy, którzy ukończyli wszystkie Maratony Warszawskie. Natomiast nie żał mi tego, że trafiłem do elitarniej jednostki w Dziwnowie, zamiast do milicji. Komisja lekarska zmieniła plany młodzieńca, który myślał o karierze sportowej w warszawskiej Gwardii. Opatrzność nade mną czuwała. ►

ROZBIEGAŁ ARMIE

**NIKT NIE WIERZYŁ,
ŻE PRZEBIEGNĘ
42 KM. W TAMTYM
OKRESIE TAKA OD-
LEGŁOŚĆ TO BYŁA
WYPRAWA AUTOBU-
SEM, NAJCZĘŚCIEJ
— Z PRZESIADKĄ.**

SUKCES W ULTRA PRZYNOSI GŁOWA. ONA W PIERWSZYCH GODZINACH MUSI NASZE NOGI HAMOWAĆ, A PÓŹNIEJ JE MOBILIZOWAĆ. ODRZUCAĆ DEFETYSTYCZNE MYŚLI, KTÓRE SĄ LICZNE JAK CHIŃSKA ARMIA, A ŁAPAĆ I ZATRZYMYWAĆ PROMYKI OPTYMYZMU I EUFORII.

To znaczy?

Od czasów, kiedy byłem już świadomym człowiekiem, marzyłem o służbie, a nie pracy. Wiedziałem, że z wadą serca nie dostanę się do wojska, stąd wybór niebieskiego munduru. Tu okazało się, że komisja była bardzo wnikliwa i odpadłem z werdyktem dożycia do trzydziestki. Załamany „półczłowiek” wybrał Śląsk i pracę w kopalni. Wybór nie był przypadkowy, bo w czasach stalinowskich ojciec zamiast do wojska też tam trafił i wrócił mi powrót po trzech dniach. Wytrzymałem i mam ogromny szacunek dla górników. Gdy na komisji wojskowej powiedziałem, że moim marzeniem zawsze był mundur, od razu skierowano mnie na Koszykową w Warszawie. Nauczony doświadczeniem tę i kolejne komisje, w tym do Wojsk Powietrzno-Desantowych (WPD), przechodziłem już z kolegami, tzn. Zbigniew Rosiński występował przed lekarzami w kilku osobach. Marzeniom, żeby się spełniły, trzeba pomóc, ale w dzisiejszych czasach tego nie polecam.

Trafił pan do wojska i rozbiegał pan armię. Co to oznaczało w praktyce?

Pomysł podrzucił redaktor Janusz Kalinowski, tworzący Federację Klubów Biegacza. Wielu żołnierzy z naszej jednostki chętnie startowało w zawodach sportowych. Dbanie o sprawność fizyczną jest obowiązkiem każdego żołnierza, a w jednostkach specjalnych u większości to również hobby, więc

pomysł na zorganizowane bieganie trafił na podatny grunt. 2 stycznia 1995 roku odbyło się zebranie założycielskie klubu. Niespełna pół roku później Meta Lubliniec została zarejestrowana w sądzie i formalnie rozpoczęliśmy naszą działalność. Ubogi kalendarz imprez zachęcił nas do stworzenia swojej i chyba jedynej wtedy organizowanej przez wojsko. I tak 20 lat temu powstał Bieg o Nóż Komandosa.

Sam startuje pan głównie w zawodach długich lub bardzo długich, wymagających ogromnej wytrzymałości fizycznej i psychicznej – dlaczego?

Nasze kobiety ciągle zadają nam to pytanie: „Po co ci to?”. No cóż, my samce już tak mamy, że nieustająco musimy się sprawdzać. Jak weszliśmy na Giewont, to chcemy na Mont Blanc. Jak przepłynęliśmy Zatokę Pucką, to chcemy La Manche. Jak

przebiegliśmy maraton, to chcemy setkę, a po setce – dobówkę itd. Wolę biegi ultra, bo tam można wolniej biegać. A na poważnie, taka jest kolej rzeczy przychodząca z wiekiem. Od zawsze – czytaj od pierwszego startu – moim ulubionym dystansem był maraton.

Co jest najważniejsze w takich kilkudziesięciogodzinnych wyzwaniach?

Wydolność organizmu i wytrenowanie mięśni są ważne, ale sukces w ultra przynoszą nie nogi, a głowa. Ona w pierwszych godzinach musi nasze nogi hamować, a później je mobilizować. Odrzucać defetystyczne myśli, które są liczne jak chińska armia, a łapać i zatrzymywać promyki optymizmu i euforii. Zwracam również uwagę na planowanie. Na którym kilometrze, po jakim czasie, co zjem, co wypiję, czym się wspomogę, co zmienię, kiedy odpocznę. Gdy klocki są ponumerowane, łatwiej budować piramidkę.



Ma pan jakieś wspomnienie z biegu, które zostało na zawsze?

Warszawa to sentyment, Ateny to historia, Berlin to wielkość, Koszycy to najstarszy europejski maraton, a Bieg 7 Szczytów i jego 240 km to ogrom przeżyć. Ale jest coś bardziej satysfakcjonującego od tego wszystkiego razem, takie spełnienie marzeń biegacza – są to wspólne starty z moim synem. Pierwsza wspólna dycha czy pierwszy maraton były bardzo ekscytującym przeżyciem, którego życzę każdemu ojcu. Ale ukończenie dwóch setek: Setka z Hakiem i Military Patrol, to było już niekonwencjonalne zacieśnianie więzi. To pamiętam najbardziej, to dało największą satysfakcję wyniesioną z zawodów, dodatkowo w obydwu imprezach wywalczyliśmy 4. miejsca. To była taka nasza specyficzna „samotność długodystansowca”. Nawet milcząc,

prowadziliśmy dialog. Takiej wspólnoty nie osiągnie się przy żadnym obiadku, piwku czy wódeczce.

Jest pan organizatorem wielu imprez, a wśród nich kultowego Biegu Katorżnika. Skąd pomysł na ten bieg, na taką formułę?

Pomysł zrodził się podczas zjazdu Polskiego Stowarzyszenia Biegów w Spale. Michał Walczewski opowiadał, jak to na treningu ze Sławkiem Smolińskim postanowili pobiec dnem urokliwej rzeczki: „Chłopy, jaka to katorga, po 200 m mieliśmy dość”. Jak ktoś mówi, że coś jest trudne, to żołnierz ze specjednostki zaraz chce to sprawdzić, więc po powrocie ruszyliśmy w teren. Rzeczka nawet była, ale „bez zaplecza logistycznego”. Więc z braku laku wybraliśmy kit, czyli bagno. Robiąc festyn sportowo-obronny jednym z jego

elementów został Katorżnik. Na polowę krótszym niż teraz dystansie i z pominięciem trudniejszych miejsc. Przeważał bieg, a nie brodzenie. Liczba zaufanych uczestników liczyła zaledwie 50. Drugi Katorżnik przeprowadzony podobnie tylko dla 100 osób przekonał nas co do słuszności obranej drogi i tak już 12. rok go doskonalimy.

Za swoją działalność dostał pan wiele odznaczeń i wyróżnień. Z czego jest pan najbardziej dumny?

Odwaga w podejmowaniu niekonwencjonalnych decyzji wzbudza ciekawość i zatacza duże kręgi, czyli przynosi popularność i jest zauważana przez decydentów. Stąd moje wyróżnienia zarówno wywodzą się od społeczeństwa, jak i od głowy państwa. Że sport jest ponadpartyjny, niech świadczy fakt, że wyróżniali mnie prezydenci: Kwaśniewski, Kaczyński i Komorowski. Miłe są tytuły przyznane w plebiscytach: „Menadżer Roku”, „Działacz Roku”, „Organizator Roku”, „Człowiek Roku”. Szczególną dumą napawa Wojskowy Krzyż Zasługi z napisem „POLSKA SWEMU OBRONCY”. Jednak największym sentymentem darzę „Buzdygana”. To taki wojskowy Oskar, którego w 20-letniej historii dostało niewiele ponad 100 osób.

Czy są jakieś biegi, w których chciałby pan wystartować? Wyzwanie, które pan przed sobą stawia?

Nie marzyliśmy o takich sukcesach, do jakich doszliśmy – mówię my, bo mój sukces jest sukcesem klubu i odwrotnie. Nasze świeże pomysły jak wielkanocny Bieg z Jajami (dosłownie) czy Bieg po Choinkę szybko zyskały popularność i naśladowców. Są kolejne ciekawe inicjatywy, ale muszą czekać z braku czasu, bo to, co robimy, jest naszą pracą społeczną. Kiedyś marzyłem o Nowym Jorku. Miałem nawet okazję, by wystartować w nim bezkosztowo. Zrezygnowałem ze względu na obowiązujące wizy. Tak dla zasady. A myślę, że większym przeżyciem estetycznym było kończenie maratonu w Atenach na Stadionie Panatenajskim. Wierzę, że uda mi się jeszcze wystartować w kilku ciekawych miejscach, ale nie mam ciśnienia na jakieś szczególnie miejsce czy bieg. Za to chętnie zmierzę się z jakimś kilkudniowym wyzwaniem przeprowadzanym non stop. ●

